

pozbawiał ich szybko pewności siebie i zmuszał często do odwrotu. A trzeba stwierdzić, że on doskonale przyswoił sobie tego rodzaju słownictwo i w każdej chwili, na zawołanie, mógł swobodnie, z wielką wirtuozerią, sypać przekleństwami, celnie godząc przeciwnika, co mu w przyszości nieraz pomagało, ale i... szkodziło.

Pogrzeb ojca organizowali w zasadzie sąsiedzi, którzy złożyli się na trumnę i świece, a poza tym naznoscili według swoich możliwości sporo produktów żywnościowych na stypę, zwaną tutaj „stołem żałobnym”. Pochowano Mikołasa w starej, pokrytej łatami marynarce, w przykrótkawych spodniach, spod których wyglądały damskie pończochy, założone w wielkim pośpiechu na nogi, w większych o kilka numerów butach, wystających poza trumnę, co utrudniało założenie wieka. Ciężko sobie radzono i z dłońmi nieboszczyka, które były brudne, zaniedbane i prezentowały się w trumnie fatalnie, pomimo ich usilnego szorowania, mycia. Postanowiono więc założyć mu rękawice i w ten sposób rozwiązać ten kłopotliwy problem. Punktem kulminacyjnym pogrzebu stała się ceremonia opuszczania trumny do wykopanego poprzednio dołu, podczas której matka Pranasza przeszła samą siebie i rozpaczliwym ruchem starała się powstrzymać tę czynność, jakby jeszcze miała nadzieję, że jej mąż odżyje i wróci do domu, a więc nie należało go tak szybko zakopywać. Oczywiście nikt w to nie wierzył, a raczej dopatrywał się w takiej postawie Adeli dużo pozy, teatralności, sztuczności, co jednak nikogo nie dziwiło, albowiem na tych terenach takie zachowanie się kobiety podczas pogrzebu było czymś naturalnym i czym więcej tragizmu, i rozpacz pokazywała ona swoją postawą, tym większy aplauz wywoływała wśród uczestników tej smutnej ceremonii, którzy później długo gadali, zastanawiali się nad prawdziwością tego swoistego przedstawienia. Często, ażeby jeszcze bardziej ubarwić tego typu ceremonię, doprowadzić niemal do zenitu rozpacz po zmarłej osobie, najmowano zawodowe płaczki, które w najdrobniejszych szczegółach rozpracowywały repertuar tego spektaklu: tarzały się po ziemi, rwały włosy z głowy, udawały omdlenia i tak wyły, że tylko najbardziej odporni psychicznie mogli to wytrzymać i nie rozpląkać się. Na ile prawdziwa, nieudawana była rozpacz Adeli po zmarłym mężu, nie dało się od razu stwierdzić i dopiero po jakimś czasie mieszkańcy Pieczurek mogli, podczas ogólnych dyskusji podwórkowych, właściwie ocenić jej postawę.

Sytuacja rodziny po śmierci ojca stawała się tragiczna, bo matka pomimo wielkiego poświęcenia nie mogła utrzymać czwórki dzieci. Teraz musiał Pranasz szybko wyzbyć się dawnych jeszcze dziecięcych przyzwyczajęń, iluzji o lepszym życiu i wkroczyć w krainę pełną zasadzek, na nieznaną, prawie nieprzetartą szlaki dorosłości, co dla 13-latkę stanowiło niewyobrażalny wprost wyczyn, potężny skok o kilka lat do przodu, nagłe znalezienie się w roli głównego żywiciela rodziny. Musiał teraz zająć miejsce parobka po zmarłym ojcu w majątku Poświle, u wielmożnego pana Rybickiego i właśnie do niego udał się z matką, bo sam jeszcze nie odważył się prosić tak dostojną, czcigodną osobę o wyświadczenie mu przysługi. Wcale nie wiedział, jak ma zwracać się do niego, jakich słów używać, był przeciętnym, zacofanym i dzikim chłopakiem, który więcej posługiwał się kuchenną łąciną w codziennym życiu i wcale nie zwracał uwagi na jakieś tam niuanse słowne. Co prawda przedtem często pasaf był do na dworze i widywał tego pana, kroczącego dostojnie w oddali po łące, to jednak czuł do niego wielki respekt, a nawet

strach i nigdy wtedy nie myślał, że przyjdzie mu stanąć z nim twarzą w twarz.

– No i co tu robisz Adelo? Widzę, że przyprowadziłaś tutaj swego syna – zagadnął pan, widząc stojących w wielkiej pokorze ludzi z Pieczurek.

– Ooo... mój kochany, wielmożny panie... straszne nieszczęście spotkało nas... – zaczęła swoją mowę Adela i rozpląkała się w głos.

– No... no nie płacz. Ja słyszałem o twoim nieszczęściu. Może co nieco będę mógł ci pomóc – rzekł i zawołał służbę: – Janek, przygotuj worek żyta na chleb, a i ziemniaków daj trochę. Przeżyjesz jakoś parę dni, a później zobaczymy...

– O Boże! Nie wiem jak panu dziękować. Pan jest dla mnie taki dobry, wyrozumiały i – Adela długo nie zastanawiając się – padła mu do nóg, a następnie próbowała całować jego ręce.

– Co ty robisz? Jak ci nie wstydy! Tak nie wolno postępować! – powiedział groźnie Rybicki, zmarszczył brwi i schował ręce do tyłu, chroniąc je przed pocałunkami. – A co tu robisz twój syn? – zwrócił nagle uwagę na Pranasza.

– On jest jeszcze bardzo młody, ale chce pracować u wielmożnego pana jako parobek – wyjaśniła wreszcie cel swego przybycia i znów zaczęła szlochać. – Niech pan zlituje się nad nami, nad naszym losem i przyjmie go do pracy. Co ja biedna wdowa mam robić z czwórka dzieci? Przecież umrzemy z głodu. Pranusz jest taki dobry, posłuszny i jakoś da radę w polu. Błagam, niech pan mnie wysłucha, nędznej wdowy.

– No, już dość tych lamentów... – przerwał płacz Adeli Rybicki i poważnie spojrzął na Pranasza. – A ile ty masz lat?

– Kończąc trzynastcie... – odpowiedział zmieszany chłopiec.

– Oj, za mało. Jesteś jeszcze dzieckiem. Chociaż... – tu jakby trochę się zawahał – wyglądasz na bardziej dorosłego. Podejdz bliżej...

Pranasz nieśmiało zbliżył się do pana, o którym tak dużo słyszał dobrego i złego od niedawno zmarłego ojca, a teraz już mógł mu przyrzec się z bliska. Przed nim stał wysoki, szczupły mężczyzna o szlachetnych rysach twarzy, na której wyróżniały się ładnie osadzone niebieskie oczy, promieniujące łagodnością i jakis odblask młodości krył się w nich. Starannie przyszyte czarne wąsiki dodawały coś z junackiej zadziorności temu, bądź co bądź przeszło pięćdziesięcioletniemu mężczyźnie. Ubrany był w szarą marynarkę z dobrego materiału, białą koszulę w niebieskie paski, rozpiętą pod szyją, a na granatowych spodniach dobrze trzymały się kanty – wszystko to świadczyło o tym, że pan bardzo dbał o swój wygląd i wiedział, co w danej chwili jest modne. W jego ruchach dało się zauważyć jakąś płynność, harmonię i pewność siebie, aczkolwiek starał się nie okazywać swojej wyższości wobec tutejszych chłopów i tylko czasami rzucał kilka mocniejszych słów pod ich adresem, kiedy nie wykonywali jego poleceń. Widząc zamieszanie Pranasza, po koleżeńsku poklepał go po ramieniu i rzekł dobrodusznie: – Nie bój się chłopcze swego pana. On nie gryzie i jest taki sam człowiek jak i ty – po czym odwrócił się twarzą do Adeli i wypowiedział słowa, które napełniły ją bezgraniczną radością: – No cóż, nie mam innego wyjścia jak przyjąć go do pracy. Co prawda nie wiem, czy poradzi sobie od razu w polu, ale sądzę, że pomalutko przyzwyczai się, okrzepnie fizycznie. A teraz idź do domu i od jutra, z samego rana zaczynaj orać pole.

Mocno zadowolony Pranasz złapał worek z żytem, podarowany przez pana dla jego rodziny, ale niestety, pomimo natężenia wszystkich sił nie mógł go podnieść i zarzucił na ramiona – był jeszcze za słaby fizycznie i dopiero przy walnej

pomocy matki udało się to uczynić, lecz nie potrafił teraz z takim ciężarem zrobić nawet parę kroków do przodu, bo nogi ugiwały się, były miękkie jak serdelki. Zawstydzony swoją niemocą Pranasz gotów był uciec jak najdalej z miejsca powszechnej hańby i upokorzenia, jak mu wtedy się wydawało, lecz powstrzymały go od tego czynu pocieszające słowa pana: – Nie przejmuj się chłopcze, to jest wielki ciężar i nie każdy, nawet dorosły może podnieść ten worek. Podobasz mi się. Z ciebie będzie dobry pracownik, wyrośniesz na uczciwego człowieka.

– Tak synku, nie wolno brać się za taki ciężar, bo możesz się oberwać. Musisz na to uważać – pośpieszyła z radą również matka.

Na szczęście w pobliżu przejeżdżał sąsiad, który pomógł Pranasowi załadować otrzymane od pana dary na wóz i zawieźć je do miejsca przeznaczenia.

To pierwsze spotkanie z panem Rybickim zapamiętał nasz bohater na długie lata i nawet w wieku mocno zaawansowanym wspominał z rozrzewnieniem tamtą chwilę, kiedy jako 13-letni chłopiec, przeżywał swoją nieporadność, zagubienie, które go wtedy całkowicie opanowały.

Tak oto rozpoczęło się jego przedwczesnie dorosłe życie i nie sądzono mu było znać dziecięcego szczęścia, bezstraszkiego bawienia się z rówieśnikami i nie odczuwać ugryzień losu. I chociaż jeszcze często błąkały się w jego głowie dziecięce, naiwne myśli, to musiał natychmiast je przeganiać i przestawiać się na dorosłe tory.

– Popatrz, jaki gówniarz. Jeszcze mleko ma pod nosem, a już udaje dorosłego – robili tego rodzaju uwagi miejscowi chłopcy.

Rzecz jasna, psychika Pranasza, bądź co bądź jeszcze dzieciaka, nie była zbyt odporna na takie bolesne ukłucia otoczenia i czasami, gdy nikogo nie było w pobliżu, dawał upust swoim nerwom i długo płakał, wyładowując w ten sposób cały bagaż upokorzeń, wstydu, bezradności, a jednocześnie budziła się w nim coraz większa siła oporu, przeciwstawienia się niesprzyjającym okolicznościom. Jakże ciężko, z wielkim trudem przychodziło mu codzienne wczesne, jeszcze przed świtem wstawanie, kiedy wszyscy spali w ciepłych łóżkach słodkim, niewinnym snem, wcale nie myśląc o czekających ich kłopotach. „Och, jak nie chce się wstawać. Jeszcze chwileczkę poczekam... Może uda się przechrztyć mamę i odciągnąć to wstępne wstawanie choć na godzinkę...” – marzył i szczerze opatulał się kołdrą, jednak mocna szarpanina, szturchańce matki szybko wyprowadzały go z tego stanu błogości: – Synku, wstawaj, na nic nie czekaj. Szybko... szybko. Nie możesz się spóźnić...

Musiał natychmiast zrzucić z siebie ciepły kokon, w który był zawinięty, postawić nogi na zimnej, szorstkiej podłodze i przełamując ciężkość senną, ochlapać twarz wodą z wiadra. Śniadanie, jak zresztą inne posiłki, nie odznaczało się wielkim wyborem dań, jak to miało miejsce w zamożnych domach, a składało się jak zwykle z czarnego chleba, którego również czasami brakowało i herbaty słodzonej sacharyną, gdyż cukier w tamtych czasach uchodził za rarytas i tylko pan mógł sobie pozwolić na to. Pojawienie się od wielkiego dzwonu smalcu, czy też słoniny na stole wywoływało radość w rodzinie Pajkianów i każdy chciał jak najwięcej skorzystać z tej okazji, napchać porządnie żołądek.

cdn.

